Ner 32. Kraków 13 listopada 1869. Rok IV.

KALINA

KALINA wychodzi co tydzień (w Sobotę) w jednym arkuszu.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania. — Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

Mody, kroje, wzory robót, haftów i t. d. z opisami dołącza się każdego 1go.

Ekspedycja dla miasta Krakowa w księgarni **J. Czecha** hotel drezdeński i **F. Baumgardtena** w głównym rynku

Listy należy adresować: do Administracyi Kaliny" — w Krakowie.

Nr. 32. — Angelika Kaufmann, ustęp z historji malarstwa XVIII wieku (według niemieckiego), przez Lucyana Tomasza Rycharskiego. — Widok na górę Chełmową (drzeworyt). — Trzy dni żywota (urywek), p. J. S. Chamca. — Pensjonarka, powieść Marka Wowczka (pani Markowicz), przełożył z ukraińskiego P. Stachurski (ciąg dalszy). — Teatr, p. O...le. — Kronika. — Korespondencja „Kaliny."

Angelika Kaufmann.

USTĘP Z HISTORJI MALARSTWA XVIII WIEKU.

(według niemieckiego)

przez

Lucyana Tomasza Rycharskiego.

Z początkiem ośmnastego stulecia wielka i twórcza sztuka zdawała się we wszystkich krajach upadać, we Włoszech, Hiszpanii, Niemczech, Holandji i Francji, mimo licznych imion artystycznych, nie było prawie ani jednego mistrza z wydatniejszém znaczeniem. Żywioły, z jakich li jedynie prawdziwa sztuka wypływa, owe duchowe potęgi, ożywiające rękę malarza, by stworzyć coś *wielkiego* i *wiecznego*, już były zamarły. W artystach XVIII wieku nie było ani natchnienia, ani oddania się wierze lub wielkim podaniom historji, ani świeżéj radości życia i natury, ani siły do stworzenia sobie i przedstawienia własnego świata, — jedném słowem, nie było w nich ani wielkości, ni osobliwości. Nie żeby w czynności artystycznéj miał jakiś zastój nastąpić — owszem malowano mnóstwo obrazów, — lecz opanował wszystkich którzy tworzyć chcieli zepsuty prąd czasu i smaku. Ztąd



WIDOK NA GÓRĘ CHEŁMOWĄ.

też prócz kilku ledwo wzmianki godnych wyjątków, imiona owoczesnych malarzy w niepamięć zapadły.

Powierzchowne dzieła *Fa Presta* we Włoszech, *Karola Lebrun'a* we Francji, służyły za wskazówkę dla tych artystów, których zawsze jeszcze książęta i bogaci mecenasi do dekorowania zamków, sal i innych budowli używali. Wspaniały teatralny styl ustąpił miejsca lżejszemu i zbytkowniejszemu, który wprawdzie lepiéj odpowiadał gustowi czasu, ale niemniéj był zepsuty. Miejsce twórczości zajęło naśladownictwo, które było hasłem sztuki i artystów w całéj téj epoce.

Wiek XVIII wytępił wszelkie zasady i kierunki, jakie w XVII służyły za miarę i prawidło sztuki. Włoskich i holenderskich mistrzów wciąż i wciąż przedstawiano w tysiącznych nieszczęśliwych i pozbawionych ducha odgrzewaniach dlatego jedynie, gdyż o nich najwięcéj na gieldzie artystycznéj pytano. Badano ich sposób malowania, ich maniery, nie posiadając naturalnie ich prostoty i oryginalności. Aby się przekonać o owéj duchowéj i uczuciowéj nędzy tamtoczesnéj sztuki, trzeba koniecznie widzieć zbiór obrazów z pierwszéj połowy XVIII stulecia.

Ubogim i pozbawionym idei pędzlem owego czasu po tyrańsku władał humor, od którego zależało naśladownictwo tego lub owego mistrza. Luca Giordono zyskał głównie wziętość i uwielbienie przez to, iż raz Rafaela to znów Rubensa naśladował. Zdolność taką zaczęto teraz najwięcéj cenić, tak, iż przemysł artystyczny w właściwém znaczeniu tego wyrazu zajął miejsce prawdziwego ruchu artystycznego. Wśród takich okoliczności i znawstwo sztuki zyskało istotne znaczenie i utworzyło wkrótce pewną chwilę w życiu sztuki. Kto tam chciał być uważany za mistrza, nie potrzebował mieć wewnętrznego życia, żadnéj pełni idei, żadnego zmysłu twórczego, ale za to musiał znać doskonale kopjowanie, prowadzenie pędzla, składanie farb i t. d. któregokolwiek z artystów, których na targu najwięcéj poszukiwano. Dlatego téż na tuziny można było liczyć prowincjonalnych Coreggiów, małomiejskich Rembrandtów, a ich kopje zdawały się na pierwszy rzut oka tak zręczne i łudzące, iż lubownicy i kupcy rzeczywistych oryginałów, takowe często w zwątpieniu o nieprawdziwość podejrzywać mogli. Myślący artysta zawsze sobie przyswaja w pewnym stopniu znawstwo sposobu malowania różnych mistrzów, wtenczas zaś każdy nieco znaczniejszy malarz był zarazem zbieraczem, znawcą i naśladowcą.

Łatwo tedy pojąć można, iż artyści wśród takich okoliczności coraz więcéj upadali, a nawet utracili swój najpiękniejszy przywilej, patrzenia na świat i naturę własnemi oczyma. Miejsce energicznych i nieraz uparcie samoistnych mistrzów dawniejszych zajęli malarze bez charakteru, których zdolności na téj drodze zupełnie niknęły.

Upadek ten był widoczny na każdém polu, na którém dawniéj sztuka kwitnęła, a objawiał się szczególnie w charakterystycznych formach w Niemczech i Francji, gdzie dążono głównie do opanowania techniki i dokładnego poznania różnych mistrzów i ich dzieł, i przez to w końcu ze sztuki zrobiono rzemiosło.

Wogóle w całym wieku XVIII sztukę uważano za zbytek, a znajomość takowéj — i to bardzo ograniczona znajomość — istniała tylko jeszcze w kółkach bardzo wykształconych ludzi.

Prawie już przy końcu XVIII stulecia wystąpiły na horyzoncie sztuki pewne zjawiska, które wprawdzie nie przypominały żadną miarą dawniejszych artystów, ale zapowiadały przynajmniéj lepszą przyszłość. Zbiegły się one razem z ukazaniem się wielkiego Winkelmanna, twórcy nowéj ery w historji sztuki, który już w pierwszém swém dziele „*O naśladownictwie starożytnych*“ (1755) walczył przeciwko despotycznemu francuzkiemu smakowi i przeciwko przez cały świat ubóstwianéj sztuce Berniniego, przeciw jego nienaturalności, a z drugiéj strony z czystém estetycznem uczuciem i gorącém natchnieniem wskazał na godność i prostotę greckiéj starożytności. Wszystkie następne dzieła Winkelmanna, przedewszystkiem jego „*Historja sztuki*“ szły tą samą drogą i były w rzeczy saméj prawdziwemi zjawiskami dla cywilizowanego świata. Winkelmann przytłumił moralnie ową pustą i pedancką znajomość i krytykę sztuki, a stworzył nową wiedzę, przekonanie i zasady, które jakkolwiek nie wolne od błędów, jednostronności i braków, atoli podnosząc, zagrzewając i ożywiając na nowo, niemały wywierały wpływ na artystów i przyjaciół prawdziwéj sztuki. Wprawdzie malarze ci, jakkolwiek współcześni Winkelmanna, wysoko mogli być przez niego wielbieni, nie byli jeszcze tymi, którzy do najnowszych doszli rezultatów, wszelako dowiedli już, iż energiczna i silna wola, iż każdy zwrot do wiecznéj natury lub prawdziwéj starożytności — co w końcu na jedno i to samo wychodzi — nawet tam pomyślne pozostawia skutki, gdzie talent i siła nie są bardzo bogate i potężne.

(Ciąg dalszy nastąpi).

TRZY DNI ŻYWOTA

(Urywek).

Dzień pierwszy jest piosnką, wesołą a krótką,
Motylim zalotem do róży,
Szesnastu lat słońcem wygrzaną stokrótką,
Przygrywką do życia podróży.

Dzień drugi jest tęsknem za siebie spojrzeniem,
Po burzy chwileczką spokoju,
Sukienki dziewiczéj żałosném wspomnieniem,
Obmyciem się z grzechów w łez znoju.

Dzień trzeci, Bóg wié czém! ostatnim wybrykiem
Ostatnich młodości już szałów,
Wpół chłodem, wpół tkliwém westchnieniem, żarcikiem,
Promykiem gasnących upałów.

J. S. Chamiec.

PENSJONARKA.

Powieść *Marka Wowczka* (pani Markowicz),
przełożył z ukraińskiego P. Stachurski.

(Ciąg dalszy).

XXXVII.

Po roku umarła starsza pani. Bardzo jéj nie chciało się umierać! Wciąż modlitwy odmawiała, czytała Pismo Św., w cerkwiach dawała na nabożeństwa, świece nie gasły przed obrazami. Dziewczynka jakoś nie przypilnowała, świeczka zgasła . . . pani kazała obić dziewczynę! — Ty grzesznico! i memu zbawieniu szkodzisz!

XXXVIII.

Pani nasza martwiła się i płakała staréj bardzo.—Już teraz samą zostałam w świecie! Obedrą mnie teraz jak korę lipową . . . Moje oko wszystkiego nie dopatrzy, a z ciebie — powiada do pana — jaka mi pociecha? Ty nie oszczędzisz dla mnie, chyba to co mamy strwonisz. Ty ani myślisz, że niezadługo Bóg nam da potomstwo. Przez wzgląd na dziecko, jeśli nie dla mnie, opamiętaj się, przyjacielu! Gospodaruj, pilnuj każdéj rzeczy; a najgłówniejsza ludzi mi nie psuj!

— Co ci, moja luba! Bóg z tobą! Znów troszczysz się każdą rzeczą . . . Ja wszystko zrobię, co zechcesz, wszystko!

Tak się bywało uspakaja.

Razu pewnego chciał on ją rozerwać i powiada: Dość już, serce, tych kłopotań się! Posłuchaj co ci powiem. Prosiłem już na kuma . . .

— Kogo prosiłeś? — przerwała mu pani.

— Swego kolegę. Taki dobry człowiek, poczciwiec...

— Boże mój! Domyśliłam się odrazu: zaprosił jakiegoś żebraka . . . Ani chce słyszeć o tem! Nie będzie nic z tego! nie będzie! . . .

I płacze rzewnie.

— Serce moje! nie płacz — błaga ją pan — gołąbko! zachorujesz . . . On kumem nie będzie. Przeproszę go i koniec! Powiedz mi tylko, kogo chcesz? zaraz zaproszę.

— Półkownika trzeba prosić; tak jest, półkownika!

— Półkownika, to półkownika. Jutro pojadę do niego. Daruj mi, kochanie, że cię zasmuciłem! . . .

— Otóż to, że ty mnie nie oszczędzasz: martwisz mnie ustawicznie!

— Aniele mój! — przemówił pan zcicha, — zlituj się i ty nademną. Wciąż gniewasz się, krzyczysz, kłócisz się... a ja miałem nadzieję. . .

Jak zapłacze!

Pani do niego: — Co ci jest? co? . . .

Chce go brać za ręce, a on zakrył twarz obiema, i płacze, płacze . .

Ledwie go udobruchała: . i całowała, i ściskała — zaledwie się uspokoił.

— Powiedz-że mi! czegoś ty płakał? powiedz! — prosi go pani.

— Sam nie wiem, moja droga! — odpowiada pan z kłamanym uśmiechem — tak czegoś . . . Trochę niezdrów jestem. Nie myśl o tém, i śmiej się że rozpłakałem się jak dzicko.

A sam westchnął.

— Ty może myślisz, że ja cię nie kocham? zapytuje pani.

— Nie, kochasz!

— Kocham, i jak jeszcze! Ale nie można wiecznie, jak gołąbkom gruchać . . . trzeba, moje serce, gospodarować.

I pocałowała go.

Raniutko pojechał pan, zaprosił półkownika na kuma.

XXXIX.

Co tych gości zjechało się na chrzciny! Objad dano wspaniały. Kum półkownik przyjechał siwemi końmi, brzęcząc, dzwoniąc dzwoneczkami. Wzrostu słusznego, pełny na twarzy, czerwony; prawą ręką wciąż wąsa pokręca, lewą pałasz przytrzymuje, a plecami podnosi się do góry.

Ja szczęśliwa, że mi nieco swobodniéj, wybiegłam do Prokopa. Stoję, rozmawiając z nim koło ganku. Aż tu pan zjawił się przy nas, taki wesoły, jakim był dawniéj, przed ożenieniem się z panią.

— A co wy tu stoicie oboje? o czem rozmawiacie? — zaśmiał się.

A Prokop do niego: Panie! oddajcie mi dziewczynę!

— Dobrze! Bierz, Prokopie. Ja ci nie zabraniam. Pobierzcie się i żyjcie ze sobą szczęśliwie.

— A pani? . . . - pyta Prokop.

Pan westchnął, zamyślił się, a wreszcie powiada: Chodźcie za mną! Weź ją za rękę, Prokopie!

Poszedł do pokoju; a Prokop wiedzie mnie za nim, ściskając moją rękę.

— Luba! — powiada pan — przyprowadziłem ci tu młodą parę. Czy ci się podoba?

A tu w pokoju panów, pań! . . . A półkownik pomiędzy wszystkimi, jak ten indyk perejasławski, przechadza się i prycha pod nosem.

Nasza siedzi w fotelu. Popatrzyła na nas i odwróciła się. Znikł wesoły uśmiech; gniewnie spojrzała na pana i pyta: co to znaczy?

Prokop kłania się, prosi.

— Ja pozwoliłem już — powiada pan. — Nie broń i ty, moja droga! Dał nam Bóg szczęście; niechaj i oni będą szczęśliwi.

Pani milczy i usta gryzie. A półkownik ni ztąd, ni zowąd huknął jak trąba: Do pary! do pary, biesowe dzieci! przystojni oboje! Trzeba ich pożenić, moja kumo miła! Chcesz iść za mąż? dziewczyno! — pyta mnie; a ile razy zechce mrugnąć, to oczy zmruży — nie mrugnie! mocy niema, bo pił za wiele!

Wszyscy panowie chórem za nim: — Pożenić! pożenić! Widzi pani, że jéj kum, półkownik mówi, iż do pary!...

Wtedy już i pani: Niech tam sobie!...

Aniśmy się spamiętali, znalazłszy się za progiem. Rzuciliśmy się prędziutko, i ciehaczem prawie, bez przygotowania... żywiéj, by nas pani nie rozłączyła, pobraliśmy się.

Bardzo się ona gniewała na pana: Jak ty mnie podszedłeś! wymawia mu: Nie mogę ci tego darować... jak ty mnie podszedłeś!

— A tobie — zwraca się do mnie — tobie będzie!...

— Niechaj już będzie, co będzie! myślę sobie, jużeśmy się pobrali! Już i to mnie cieszy wielce, że teraz mogę mówić do niego przy ludziach, popatrzeć na niego... że on już mój!

XL.

Zostałam przy pani, jak dawniéj! Jeszcze gorzéj mi ona dopieka, jeszcze bardziéj znęca się! a przymawia ustawicznie: A co? jak ci po zamąż pójściu? czy polepszało?

Jak ni-przemówi mąż, jak ni-pożałuje, a czasem tak bywa, że poszedłbyś raczéj pod ziemię... Zejdę się z nim, wesoło i lubo, wszystką biedę zapomnę!... Tylko mąż mój coraz to bardziéj chodzi pochmurzony, aż mnie boli serce.

— Czy ty mnie już nie kochasz? Prokopie!

On przyciśnie mnie do piersi, popatrzy w oczy... tak miło, że czuję: skrzydła mi rosną u ramion.

— A czegożeś ty taki smutny zawsze? Prokopie! Przecież my teraz razem z sobą na wieki.

— O, moje serdeńko! Ciężko było bez ciebie, a z tobą cięższéj jeszcze... Jakże mi co chwila oczekiwać twéj krzywdy i cierpienia?... A obronić cię sił nie mam... Guściu! ciężko mi!...

— Jak bądź oboje biedę przecierpimy, Prokopie. Co do mnie, to we dwóch wszystko znośniejsze!

— Może to i prawda, moja rybeńko!

I uśmiechnie się i popieści mnie.

Ach, tak się cieszę, gdy go rozweselę, gdy go rozerwę nieco!...

XLI.

Żyliśmy tak z troską i biedą do jesieni. Tu... stało się!

Pewnego dnia otrząsano jabłka w ogrodzie. Mąż mój otrząsa jabłka, i wciąż spogląda na mnie to z za téj, to z za owéj gałęzi. Babusia już się nieco zmęczyła i siadła odpoczywać.

— Ot już i piękne latko minęło — powiada. — Słońce świeci jeszcze, ale nie grzeje.

To mówiąc rozgląda się wokoło.

— Guściu, serce! Tam coś jakby dziatwa wyziera z za parkanu?—pyta mnie.

Spojrzę. W rzeczy saméj gromada dzieci u płotu.

— A co dziatki! — pyta babusia. — Czego przyszliście? sokolątka moje!

Malcy milczą, tylko okiem wskazują kosze z jabłkami.

— Chodźcie tu bliżéj, dziateczki! dam wam po jabłuszku — powiada babusia.

Dziatwa tak się i posypała do ogrodu. Ostąpili starą, jak ptactwo domowe; a ona obdziela ich jabłkami.

Zachuczało, zaszumiało koło nas... wiadomo, dzieci! Aż tu znienacka jak nie krzyknie pani: A to co?!

Przestraszyła się dziatwa. Jedni w płacz, a drudzy w nogi! tylko się zakurzyło.

Silniéj mi zabiło serce.

Babusia spokojnie odpowiada: To ja, dałam dzieciom po jabłuszku.

— Ty dałaś?... tyś się ośmieliła?...—zawrzeszczała pani, a sama trzęsie się jak w febrze.—Ty chłopko! dobro moje kradniesz! złodziejko!...

— Ja złodziejka?!...—wymówiła stara; pobladła jak chusta, oczy się jéj zaświeciły, łzy pociekły po twarzy.

— Więcéj już kraść nie będziesz!—krzyczy pani.—Ja cię już dawno mam na oku, aż teraz się pokazało!... Pańskie jabłka rozdawać!...

— Nie kradłam ja w życiu mem nigdy — odpowiada stara, już spokojnie, tylko głos jéj dźwięczy. — Pan nigdy nie zabraniał, sam dzieci obdarowywał. Bóg daje dla wszystkich. Spójrz pani! czy mało dla was będzie?

— Milcz!—krzyknęła pani, przyskakując do staréj.

Zachrzęszczały gałęzie. Z za liści zielonych wygląda mój mąż! a tak okropnie patrzy!... Ja tylko błagam go oczyma.

— Złodziejka! złodziejka!—krzyczy pani, wpiwszy się pazurami w plecy staruszki; i potrąca ją i szturcha!

— Krzywdzicie mnie, pani, niesłusznie! Ja nie złodziejka, pani! Wiek mój przeżyłam uczciwie, pani!

— Ty mi jeszcze przymawiasz!

I z całéj siły, jak siekierą, w twarz uderzyła staruszkę!

Zachwiała się stara... Rzuciłam się do niéj. Pani do mnie! Mój mąż do pani!

— Dziękuję ci, moje dziecko — mówi do mnie babusia. — Nie troszcz się o mnie, nie gniewaj pani!...

A pani już się wpiła w moje włosy.

— Dość już pani, dosyć! - krzyknął mój mąż, złapawszy ją za obie ręce.—Z tego już nic nie będzie! Dosyć!

A pani w gniewie, w zdziwieniu wielkiem tylko wykrzykuje: Co? Jak?... Ha!...

Opamiętała się nieco — i do Prokopa! A ten swoje: — Nie! dość już!

Wtedy ona w krzyk! Pozbiegali się ludzie, patrzą się. Pan, ile mu sił starczyło, przybiegł także. — Co tu?...

Mąż mój wypuścił wtedy panią z rąk.

— Ot twoje dusze szczere! — ledwie wymówiła pani. — Dziękuję ci!... Cóż ty milczysz! - krzyknęła głośniéj jeszcze.—Mnie mało rąk nie połamano, a ty milczysz!...

— Co się tu stało?—pyta pan—okropnie patrząc na wszystkich.

Pani téż i zaczęła: i okradła ją stara, i duszy jéj chciano! nagadała... nagadała! Sama płacze i krzyczy i przeklina, aż i pan się rozwściekli. Jak nie rzuci się do mego męża: Rozbójniku!

— Nie zbliżaj się, panie! nie zbliżaj się! - zawołał mój mąż ponuro.

— E, widzę — mówi pan — mało tu miejsca dla ciebie!... Czekajże: będziesz hulać żołnierzem, ile zechcesz.

A pani krzyczy: W żołnierze go! w żołnierze! Teraz jest pobór... Zaraz go odwieźć!

— Weźcie go! — krzyknie pan do ludzi. — Zwiążcie mu ręce!

Prokop nie opierał się, sam ręce przeciągnął i uśmiechnął się.

A Nazar w tym hałasie, do mnie: Czego się lękasz? czego płaczesz? Gorzéj jak było nie będzie! Ot, czy nie będzie lepiéj? niewiadomo!...

XLII.

Zaprowadzili Prokopa do chaty. Strażnicy stoją przy drzwiach. Na dworze zaprzęgają wózek. Nazar zaprzęga konie dla pana.

Długo milczał mój mąż, a wreszcie powiada: Guściu! siądź tu przy mnie.

— Coś ty narobił? mój drogi! Coś ty narobił?... mówię mu.

— A co narobiłem! Wolną będziesz, oto co! będziesz wolną, Guściu!

— Wolną, powiadam, ale bez ciebie...

Tak mnie ścisnęło za serce!

— Wolność!—krzyknie on - wolność!... Ale na swobodzie i licho i napaść nie straszne! Na swobodzie ja góry zatopię! A poddanemu, chociaż jak się szczęści, wszystko na złe wychodzi.

Aż tu zaturkotał wózek na podwórzu. Poprowadzili Prokopa. W czem byłam, usiadłam przy nim na wózku. Stara błogosławi mnie i jego: Niechaj wam Matka Boska dopomaga, dzieci! A łzy ciche leją się z ócz jéj łaskawych.

Powieźli nas. To dziwna, że pani mnie nie spostrzegła, wyprawiając pana, byłaby nie puściła!

Jedziemy milcząc, pobrawszy się za ręce. Nie płaczę, nie martwię się, tylko serce moje bije się, tylko moje serce trzepocze...

Podjeżdżamy do miasta. Pan zapylił koło nas, wóz wyprzedzając.

Wjechaliśmy do miasta. Prędko przejechał wóz ulicami. Zatrzymał się koło wysokiego budynku.

Puścił Prokop moją rękę: Guściu! nie martw się.

Poprowadzono go do assenterunku. Usiadłam na ganku, jak na grobowisku.

— Nie rozpaczaj!—powiada Nazar, „Licho biedę przebędzie, zginie jedna, dziesięć będzie!...“ A sam już siwym włosem, niby śniegiem pruszy. Pociesza mnie; a widać to, że jego nikt nie pocieszy!...

Wyprowadzają mojego męża... Boże mój! świecie mój!... Serce zamarło we mnie. A on wesoły, jak o Wielkiéj nocy!

XLIII.

Z mężem pozostałam w mieście. Szybko minęła ta godzina, jak święta iskra zagasła, a nie zapomnę jéj do śmierci!

Wnet poruczono mego męża żołnierzowi *diad'ce*, prawdziwemu moskalowi, by uczył go wojskowéj sztuki. *Diad'ko* był wzrostu słusznego, oczy czarne, włosy i wąs jeżą się jak szczecina. Chodzi wyprostowany, mówi głośno; zachowuje się hardo.

Kłaniamy się mu; a on nic! tylko ponuro ogląda Prokopa. Daje mu Prokop pieniędzy: Przebaczcie dziatku że mało. Poddany zarabia niewiele!...

Dziatko kaszlnął! splunął. Chodźmy!

— Chodźmy do miasta, moja droga! przejdziemy się— powiada Prokop.

I poszliśmy.

Chodzimy po ulicach, zaułkach, przechadzamy się; a on pyta: Co, Guściu! czujesz ty to, że swobodną już jesteś?

I śmieje się, patrząc w moje oczy.

Jaki mnie opartywał niepokój, jak dręczyło się biedne serce; a i ja uśmiechnęłam się, i jakby mnie coś ucieszyło!...

Odszukałam i chatkę, którą odnajmowano; ale nie ma pieniędzy. Zkąd ich dostać? Do sprzedania nic nie ma. Pojechałam, nic z sobą nie wziąwszy. I skarby tam nie były u mnie: kilka koszul, spódnic dwie i jeszcze jakaś tam kataneczka i kożuszek... Nie myśleć mi wtedy było o tem, by zabrać rzeczy; a późniéj pani ich mi nie dała. Namyśliłam się wreszcie: Pójdę ja na dzienną robotę. Poradziwszy się z Prokopem, udaliśmy się do gospodyni, która chatkę odnajmowała. Opowiedziawszy swoją biedę, pytamy: Czy zechce, byśmy jéj dziennie komorne opłacali!

— Dobrze — powiada. — Będą pieniądze, będziecie mi płacić dziennie; a nie będzie ich, to wam poczekam.

My też sprowadziliśmy się do jéj chaty.

(Dokończenie nastąpi).

Teatr. — („Julia" dramat p. *Oktawiana Feuillet'a.* — „Przez zazdrość" komedja p. *Alfreda de Musset.* — „Domy polskie" dramat p. *Majeranowskiego).*

Nigdy tak bardzo nie przekonaliśmy się o prawdzie że powodzenie na scenie najlepiéj nawet ułożonéj sztuki zawisło od gry artystów, a ta od stosownego podziału pracy przez odpowiednie rozdanie ról—jak po pierwszym przedstawieniu „Julii" na naszéj scenie.

Przejmujący ten a pod względem formy dość oryginalnie pomyślany, na codziennych stosunkach familijnego życia osnuty dramat *O. Feuilleta* doczekał się w „Comedie française" całego szeregu tryumfalnych przedstawień, i mimo zupełnie zużytéj treści uważany jest w Paryżu za arcydzieło. Podczas jednak kiedy tamtejsza publiczność frentycznemi oklaski zasypuje autora i artystów a cesarzowa podaje grającéj tytułową rolę pannie *Favard* zdjętą z własnéj ręki bransoletę, nasza publiczność zachowuje się zimno, a pierwsze przedstawienie przechodzi jakby niepostrzeżenie. Zkąd tak wielka różnica?

Przyczyn jéj daleko szukać nie należy. Nie polegają one ani na artystycznéj budowie dramatu, ani na stosunku jego treści do naszych wyobraźni, ani też na stosunkowo niewykończonéj grze naszych artystów, lecz na błędzie jakiego dopuściła się reżyserja przy rozdawaniu ról pierwszorzędnych.

Idźmy jednak porządkiem, poczynając od zajmującéj osnowy dramatu.

Rzecz dzieje się na wsi pod Paryżem. Maurycy de Cambre człowiek ognistego temperamentu i przewrotnych wyobrażeń o miłości małżeńskiéj i szczęściu domowem, jest mężem młodéj i pięknéj Julji, mężem jakich francuzka moda i francuzkie obyczaje wielu potworzyły. Kocha on swoją żonę, lecz w sposób jakiego kobiety nie znoszą, kocha ją a raczéj kocha w niéj samego siebie, szanuje w niéj swoje nazwisko, czci swój honor, jest dla niéj pełen względów i uprzejmości, otacza ją wspaniałym zbytkiem i wszystkiemi słodyczami elegancji prócz słodyczy prawdziwéj miłości, daje jéj wszystko prócz samego siebie. Maurycy nie marzy nawet że dla kobiety tego wszystkiego za mało, że podwójny nawet przepych nie zastąpi jéj męża . . . . .

Maurycy sądząc że spełnił wszystko co żonę uszczęśliwić może, pozwala sobie zaniedbywać ją, sumienie jego spokojne więc rzuca się na łono przyjemności świata i—licznych metress.

Cóż robi pod ten czas Julja? Rozpacza i płacze z początku, a potém? — zobaczymy.

Dokoła niéj próżnia, mąż za domem, syn w szkole Marynarki, a ukochana córka Cecylja wyjeżdża z woli Maurycego na pensją do klasztoru. Oj ten Maurycy, jest on nietylko złym ale zaślepionym mężem. Odebrawszy żonie ostatnią pociechę z towarzystwa córki, patrzy on obojętnie na nieustanne przebywanie w swoim domu sąsiada i zarazem wielkiego przyjaciela Maksyma de Turgy. Ten Maksym jest prawdziwym typem przyjaciela domu, zaczyna i kończy jak każden z nich. Widząc niesumienne postępowanie Maurycego, stara się na niego wpłynąć i zwrócić go żonie, napróżno, Maurycy bowiem w zapatrywaniach swoich jest niezłomny. Niemogąc nic wywalczyć u męża, stara się pocieszać żonę, lecz perswazje jego i tutaj są próżne. Nieutulony żal Julji obudza w nim głęboką litość i współczucie a potem głębszą jeszcze miłość. Maksym de Turgy to nie przedsiębiorcza lecz przeważnie kontemplująca natura, tém gorzéj dla Julji. Maksym jest uczciwym przyjacielem domu, tłumi zatem swą miłość ile sił starczy, ton jego mowy jest raczéj poufny niż ponury i tkliwy. Co dla niego Julja czuje, tego właściwie nie wiemy. Nadchodzi jednak chwila stanowcza, chwila przełomu, kulminacyjny punkt dramatycznéj tendencji.

„Ja pana bardzo szanuję" mówi Julja. — „Dla tego że panią kocham" odpowiada Turgy.—„Że pan milczysz" woła ostatkiem sił zwalczona Julja!

Tutaj leży oś obrotowa dramatu!

O gdyby nie ten spacer konno Julji z Maksymem, do którego sam mąż nakłania, gdyby przynajmniéj nie teraz . . . Deszcz pada, trzeba zatém szukać schronienia w domku farmera. Usłużny farmer trzyma konie na dworze, a Julja i Maksym? . . .

Biedny pan de Cambre!

On został w domu i rozmyśla nad uwagami przyjaciela, uznaje ich słuszność, postanawia zatem zerwać z uciechami świata, pozbyć się złego towarzystwa, odprawić metressy, sprowadzić córkę do domu i oddać się całkiem żonie i familii.

Niestety, to już zapóźno!

Julja spostrzega ten niespodziany zwrot w usposobieniu męża. Czuje jak bardzo może być szczęśliwą . . . .

Niestety to już także zapóźno!

Biada zapominającym się i upadłym. Otchłań przed jéj okiem gdzie go tylko obróci, tu wspólnik jéj zbrodni, tam nawrócony na prawą drogę mąż, daléj odwiedziny upokarzające mężowskiéj kochanki pani de Cresey, z którą teraz na równi stanęła, a wkońcu powrót córki, na widok któréj czoło jéj rumienić się, a serce konwulsyjnie przeć musi.

Cecylja zaraz po powrocie wyznaje matce że kocha Maksyma, i że tem chętniéj wyjdzie za niego, ponieważ ojciec tego pragnie. Zgnębiona tym wyznaniem Julja ratuje się kłamstwem, oświadczając córce, że serce p. Torgy zajęte. Zresztą p. de Torgy wyjeżdża do Egiptu, więc Julja będzie uratowaną.

Rozmowę swoją z matką opowiada Cecylja ojcu, ten zaś zdziwiony, zaczyna się domyślać, odsyła Cecylją a przywołuje żonę przygotowaną już zupełnie do wewnętrznego rozkładu.

„Maksym w drodze umarł“ zagaduje znienacka żonę. Na oświadczenie to łamie się w śmiertelnych dreszczach nieszczęśliwa kobieta. Rozpacz jéj wybucha, a widząc przed sobą li tylko winę męża, nieobawiając się już nic ani dla siebie ani dla kochanka, wyznaje całą prawdę.

„Maksym żyje“ odpowiada rykiem wściekłości Maurycy, a w ślad za tém głos służącego anonsuje pana de Torgy. Maksym wchodzi, lecz zanim zrobił krok naprzód, Julja pada bez życia.

Obaj rywale, mąż i kochanek stoją nad zimnym trupem. „Czy wiesz że cię zabiję“ mówi mąż głosem strasznéj groźby. „Czy wiesz że umarła“ odpowiada zrozpaczony Maksym. Kortyna spada nad tak oryginalnie zakończoną akcją dramatyczną.

Rozpisując się cokolwiek obszerniéj niż zwykle nad najnowszym utworem Feuilleta, chcieliśmy wykazać czytelnikom naszym w treściwym tym zestawieniu całą jego wartość i piękne strony. Subtelne przestrzeganie czystości domowego życia jest najgłówniejszą podstawą szczęścia, lekkomyślne zaś każenie téj czystości, jest zarodkiem zgnilizny i przyczyną najfatalniejszych zawikłań ze strasznemi karami w odwodzie. Taką jest filozoficzna myśl autora, któréj bliżéj interpretować nam niepodobna.

Gra artystów naszych nie była zadawalniającą, czego winę przypisujemy reżyszerji, nieumiejącéj w stosowny sposób rozporządzać siłami, na których teatrowi naszemu bynajmniéj nie zbywa.

Nie byliśmy nigdy ostatnimi, gdzie chodziło o oddanie przynależnego hołdu znakomitym zasługom i wielkiemu talentowi p. *Rapackiego*, tą razą jednak wyznać nam przychodzi, że oprócz ucharakteryzowania twarzy i wyrazu ust, ani reszta powierzchowności, ani studjum charakteru roli *Maurycego de Cambre* nie odpowiadały. Rola ta powinna się znajdować w rękach p. *Bendy*, który w roli *Maksyma de Torgy* nie był zupełnie na swojem miejscu. Usypiająca monotonija i grobowa ponurość ze spartańską powierzchownością czyniły Maksymowi p. Bendy niezmierną krzywdę, i trudno było uwierzyć, że Julja kochać go może. Specjalnie zaś czynimy zarzut p. B. że pierwsze wyznanie miłości było tak bezsilne, iż publiczność mogła go nawet nie spostrzedz, a przecież Maksym wahał się długo i tylko pod wpływem niezmiernego wzburzenia wyrzekł owo fatalne: „Czy dlatego że panią kocham!!!“

Rolę Maksyma grać powinien p. *Ladnowski*, należy ona bowiem do jego fachu.

P. *Nowakowska* (Julia) była na początku pierwszego aktu cokolwiek sztywną, a w ostatniéj swojéj scenie za mało tragiczną — śmierć jéj powstaje prawdopodobnie z udaru sercowego, wygina się ona konwulsyjnie w tył i pada w znak na ziemię nie zaś bokiem na kanapę. Zresztą gra jéj była zadawalniającą, a w chwilach namiętnych wybuchów wyborną.

Panna *Bendówna* (Cecylja) była tego dnia nie w swojem usposobieniu, a panna *Górecka* (p. de Cresey) dowiodła, że i w małéj roli można zrobić wielkie fiasco.

Dla uzupełnienia wieczoru dawano po „Julii“ miluchną i pełną scenicznych zalet jednoaktową komedję *Alfreda de Musset*, p. t.: „Przez zazdrość.“ Żywość akcji i misterna mistyfikacja połączona z wysoką elegancją stanowią cechę téj komedji odegranéj przez naszych artystów z godną wysokiego uznania dokładnością i wdziękiem.

P. *Parźnicka* (Marja) miała nowe pole popisu w świetnych swoich rolach naiwnych. Pan *Ładnowski* (Baron de Valbrun) był doskonałym typem sentymentalnego kunktatora, przedewszystkiem zaś należy się wyszczególnienie p. *Wolańskiemu* (Margrabia de Prevannes) za grę tryskającą świeżością życia za rzadką naturalność, swobodę ruchów i pewność siebie, która u tak młodego artysty jest oznaką wielkiéj siły.

Marja Malczewskiego w postaci 5cio-aktowego dramatu p. t.: „Domy polskie“ przez Majeranowskiego, jest sztuką obliczoną li tylko na efekt niedzielny, uwalnia nas przeto od humorystycznych extemporacji do jakich niepoślednie otwiera pole.

We Francji dają dla ludu w niedzielę tak zwane „Féeries,“ w Niemczech równie banalne „Possy“ z bezsęsownemi śpiewkami, u nas wprowadza Dyrekcja sztuki narodowe i patryotyczne, więc dzięki jéj za to.

W końcu miło nam podzielić się z czytelnikami wiadomością, że w teatrze naszym przygotowują w tłumaczeniu znakomitą tragedją *Wiktoryna Sardou*, p. t.: „Patrie.“ Znakomite powodzenie téj sztuki w Paryżu zapewne i u nas znajdzie odgłos.

O...le.

---

a. δ. **Kronika.** — *Jest wszelka nadzieja, że „Djabeł“ w następnych numerach nie zapomni o „Kalinie.“ — Kronikarz przeprasza Dyrektora teatru lwowskiego za zbyt otwarte może zdanie o jego zasługach dla sceny narodowéj. — Kraków ma dużo członków oświeconych a mało oświetlonych latarni (z powtórzeniem). — Kasyno literacko-artystyczne de facto — istnieje.*

Czytając pilnie recenzje „Djabła“ tyczące się *Dyrekcji* teatru krakowskiego, podziwiać musimy heroiczną wytrwałość, z jaką Redakcja tego pisemka walczy o.... miejsce gratisowe w świątyni Melpomeny. Dyrekcja podobno usprawiedliwiając wykwintny gust Redaktora do sztuk wyzwolonych, stara się u władz odpowiednich, o przystawienie jeszcze jednéj loży, która ma być oddaną wyłącznie do dyspozycji Redakcji „Djabła.“

„Djabeł“ więc pozbywszy się zazdrości, będzie mógł, na wzór pewnego pisemka, pędzić swój *fijAłkowy* żywot otoczony *dwunastoma tysiącami* prenumeratorów, i w dodatku — mieć . . . lożę w teatrze!!! A kiedyśmy o teatrze zaczęli, choć nas to bezpośrednio nie dotyczy, słów parę poświęcić

musimy i scenie lwowskiéj, choćby przez wzgląd że kwestja teatru lwowskiego jest jedną z żywotnych kwestji, którą prąd opinii publicznéj, uratować chce od zupełnéj zagłady jaka jéj grozi pod dyrekcją pana Miłaszewskiego. — Jeżeli wyraz téj opinii ma u nas poszanowanie, Rada zawiadowcza będzie się musiała narazić na niełaskę Księcia pana; zaś jeżeli Książę pan zechce postawić na swojém, i utrzymać swego protegowanego, będzie to znowu dowodem, że Radzie zawiadowczéj dużo zależy na względach JO. Księcia. Czyli, jeżeli p. Miłaszewski utrzyma się przy Dyrekcji teatru, będzie to znaczyć, że nie teatr dla Lwowa lecz Lwów dla teatru i pana Miłaszewskiego istnieć powinien.

Otóż ponieważ kwestja teatru lwowskiego ma aż trzy wnioski, których powodem jest kandydatura p. M. — a wiadomo, że dzisiaj wszystko, nawet na sejmie lwowskim, kończy się na wnioskach — zatém, zdaniem naszém byłoby najsłuszniéj usunąć pana Miłaszewskiego z pod kandydatury, a tym sposobem publiczność, artyści i scena narodowa zyskałaby wiele.

Poddając ten nowy zupełnie wniosek pod rozwagę Rady zawiadowczéj, sądzimy w skromności ducha, że jest jasny, logiczny i sumienny, a zatém łatwo trafi do przekonania.

Jednakże, podobne rzeczy idą wcale innym trybem na świecie; dowodem tego jest Towarzystwo gazowe krakowskie, które aby dać dowód że głos opinii publicznéj nie obchodzi go wcale; naprzekór dziennikom i ludności dopominającéj się lepszego oświetlania miasta, zaniechało zupełnie czyszczenia latarni, tłumacząc się tém przekonaniem (nie bez zupełnéj słuszności), że prawie każdemu krakowianinowi wracającemu późnym wieczorem do domu, świta dostatecznie w głowie. Według nas, oświetlanie jest nawet zupełnie zbyteczném tu, gdzie każdy, jeżeli już nie literatem to przynajwniéj członkiem Towarzystwa Oświecenia być musi — z urzędu.

Ciekawą jednakże jest rzeczą, że w Krakowie, gdzie tylu jest członków najrozmaitszych towarzystw, resurs, kasynów i klubów, czuć się daje dotkliwie brak właśnie owéj towarzyskości. Jedno tylko kasyno literacko-artystyczne niezmordowane w swéj pracy funkcjonuje i zdobywa sobie przyszłość — olbrzymią. I nic dziwnego, gdzie między publicystami i ludźmi pióra taka panuje harmonja i solidarność — tam spodziewać się można owoców nielada.

Obawiamy się jednakże, aby alfabetycznemu humoryście krakowskiemu nie przybyło jeszcze jedno przysłowie — wyszedł jak kasyno literackie na połączeniu się z resursą mieszczańską.

Korespondencja „Kaliny."

Pani **A. K.** w W. — Nra 17, 21 i 22 wysłaliśmy pod wskazanym adresem dnia 8 b. m. po raz **drugi**. Albo więc adres niedokładny, albo „Kalina" ginie na poczcie.

Panu **C. K.** w Grabowie. — Za serdeczne uznanie dziękujemy z całéj duszy. — Uwagami uprzedziłeś pan tylko nasze zamiary. — Reformy te są konieczne, a wymagania słuszne, i dlatego staraniem naszém będzie uczynić im zadosyć. Prosimy tylko o cierpliwość.

Od Redakcji.

Szanownych prenumeratorów, którzy nie zapłacili za kwartał IV-ty, upraszamy o nadesłanie zaległéj prenumeraty.

Kierujący Redakcją Aleksander Dawidowicz.
Odpowiedzialny redaktor i wydawca *St. Gralichowski.*

W drukarni „Czasu" W. Kirchmayera. Rządzca drukarni *Józef Łakociński.*